Nr. 51 Rok 3 Kraków, dnia 20 grudnia 1942 40 gr.

Ilustrowany
...ER POLSKI



RAPSODIA

NASZ KONKURS ŚWIĄTECZNY



ANGIELSCY I AMERYKAŃSCY JEŃCY W TUNISIE

Niemieccy strzelcy pancerni i piechota po zajęciu Teburby wydobyli jeszcze kilku żołnierzy angielskich z ich kryjówek i zabrali do niewoli. Również i dla angielskich spadochroniarzy, których widzimy na prawo na zdjęciu maszerujących w czapkach baskijskich, wojna już się skończyła po krótkim trwaniu.







Na prawo:

W BLASKACH OŚLEPIAJĄCEGO SŁOŃCA AFRYKI

Śnieżną bielą lśnią budowle miast w Tunisie pod błękitno-stalowym niebem. W cieniu wąskich uliczek odbywa się tu wszędzie targ.

Protektorat Tunis, najmniejsza z francuskich posiadłości Afryce jest szeroki około 270 km, ciągnie się w kierunku z północy na południe na przestrzeni 700 km w głąb Sahary. Na zachodzie graniczy Tunis z Algierem. Od północy wschodu Morze Śródziemne stanowi jego naturalną granicę, wreszcie od południowego-wschodu dotyka Tunis Libii. W obecnej sytuacji wojennej szczególnie doniosłe

Na dole:

WALK W TUNISIE

omenty największenapięcia! Niemiecka piechota i Arabowie przeżyli w bezpośredniej bliskości ...ający trwogę atak ...owców niemieckich na pozycje anglo-amerykańskie.



TUNIS

znaczenie odgrywa niewielka odległość północno-wschodniego krańca Tunisu (przylądek Bon) od Sycylii. Odległość ta w linii powietrznej wynosi jedynie 140 km. Z chwilą zajęcia Tunisu przez wojska Osi obecnie oba brzegi Morza Śródziemnego w tym wąskim miejscu znajdują się w ręku Niemców i Włochów, i dziś można jeszcze lepiej niż dotychczas kontrolować ruch okrętów nieprzyjacielskich płynących z Gibraltaru przez Maltę ku kanałowi Sueskiemu. Zarazem przez zajęcie Tunisu droga morska dowozu zaopatrzenia dla wojsk Osi w Libii została znacznie skrócona.

Jak wiadomo, warunki prowadzenia wojny zawisły w znacznej mierze od położenia geograficznego danego kraju i od jego klimatu. Tutaj północny Tunis ma łagodny śródziemnomorski klimat, podczas gdy na południu kraju panuje klimat wybitnie pustynny.

W omawianej kolonii francuskiej, najważniejszym miastem jest Tunis,

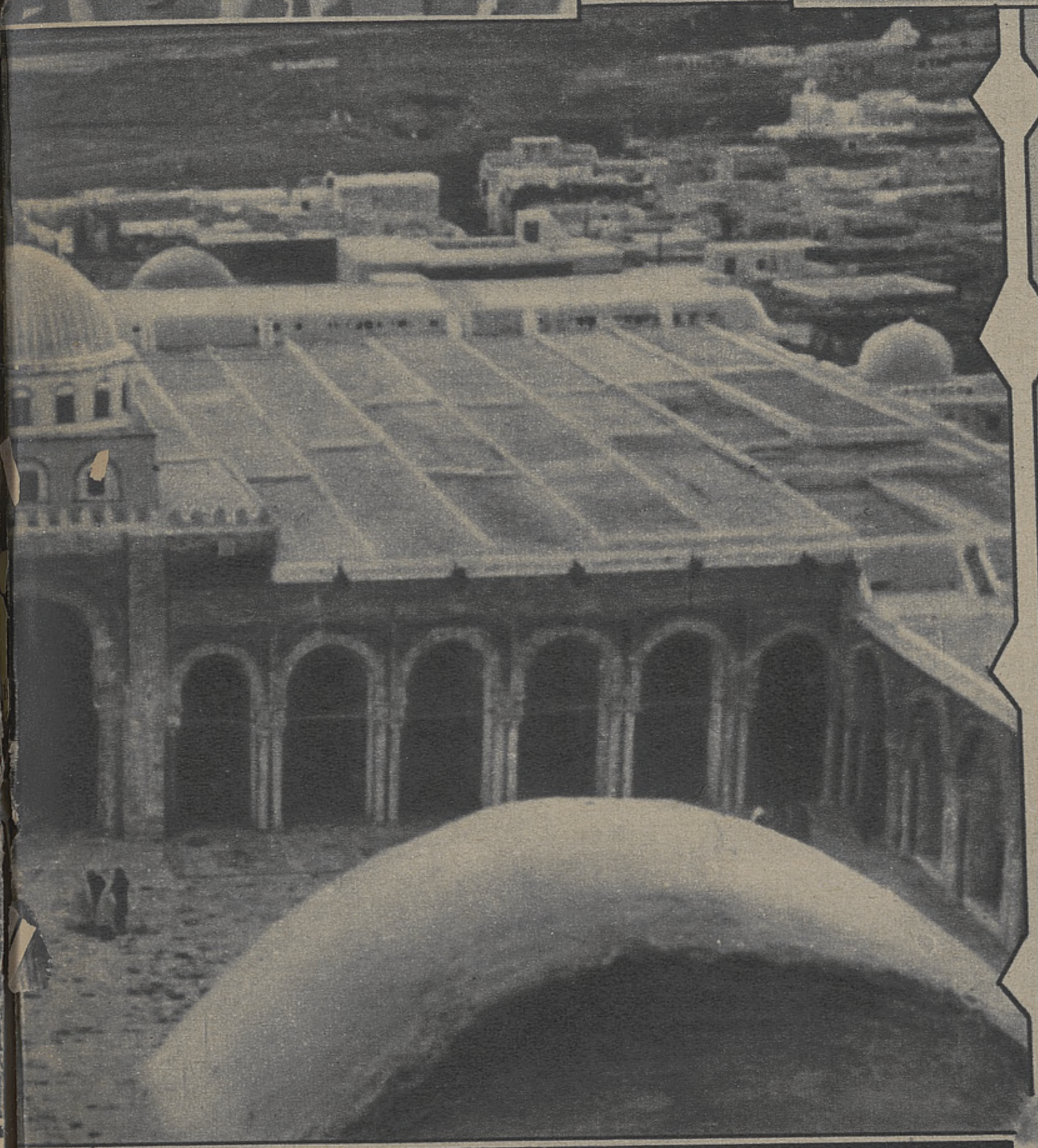


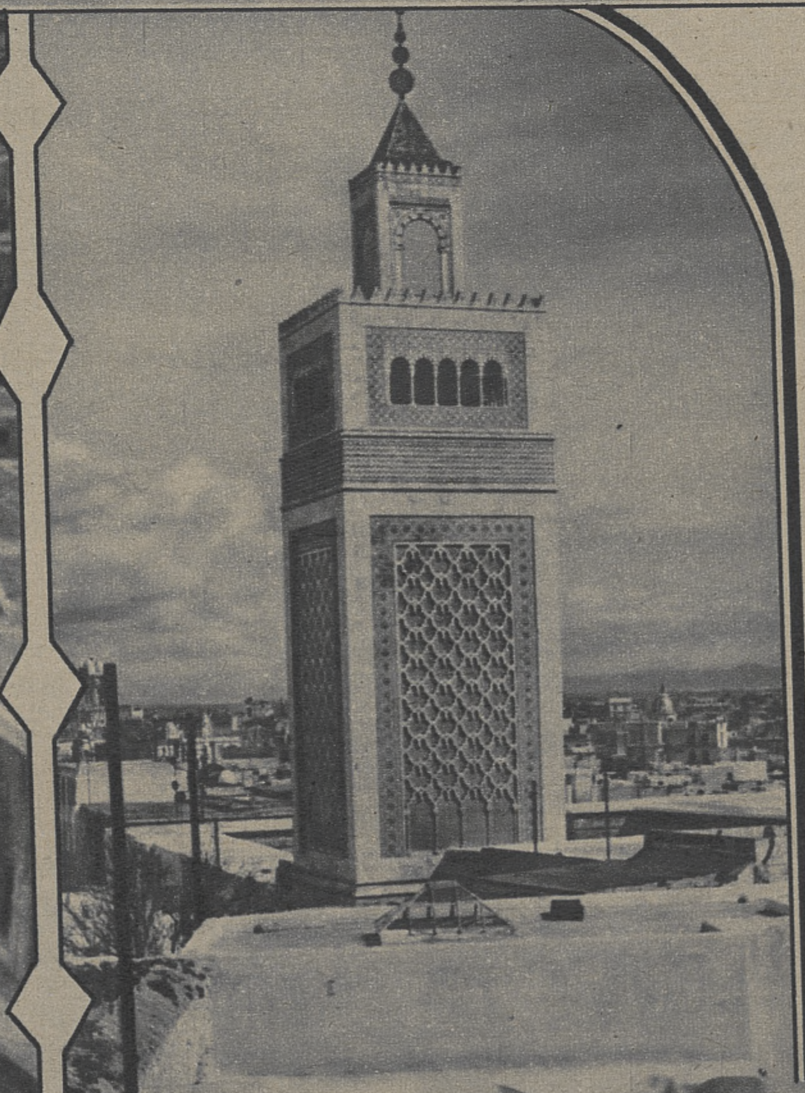
Na prawo:

PO ZAJĘCIU TEBURBY

Ze stratą Teburby straciły wojska aliantów niezwykle wartościowy punkt oparcia, który im służył jako punkt wyjścia dla ataków na Tunis i Bizertę. Nasza ilustracja przedstawia niemieckiego generała, dowódcę oddziału czołgów w Teburbie.







Na lewo:

TUNIS

białe miasto. Wygląd miasta uświetniają kopuły 36 meczetów.

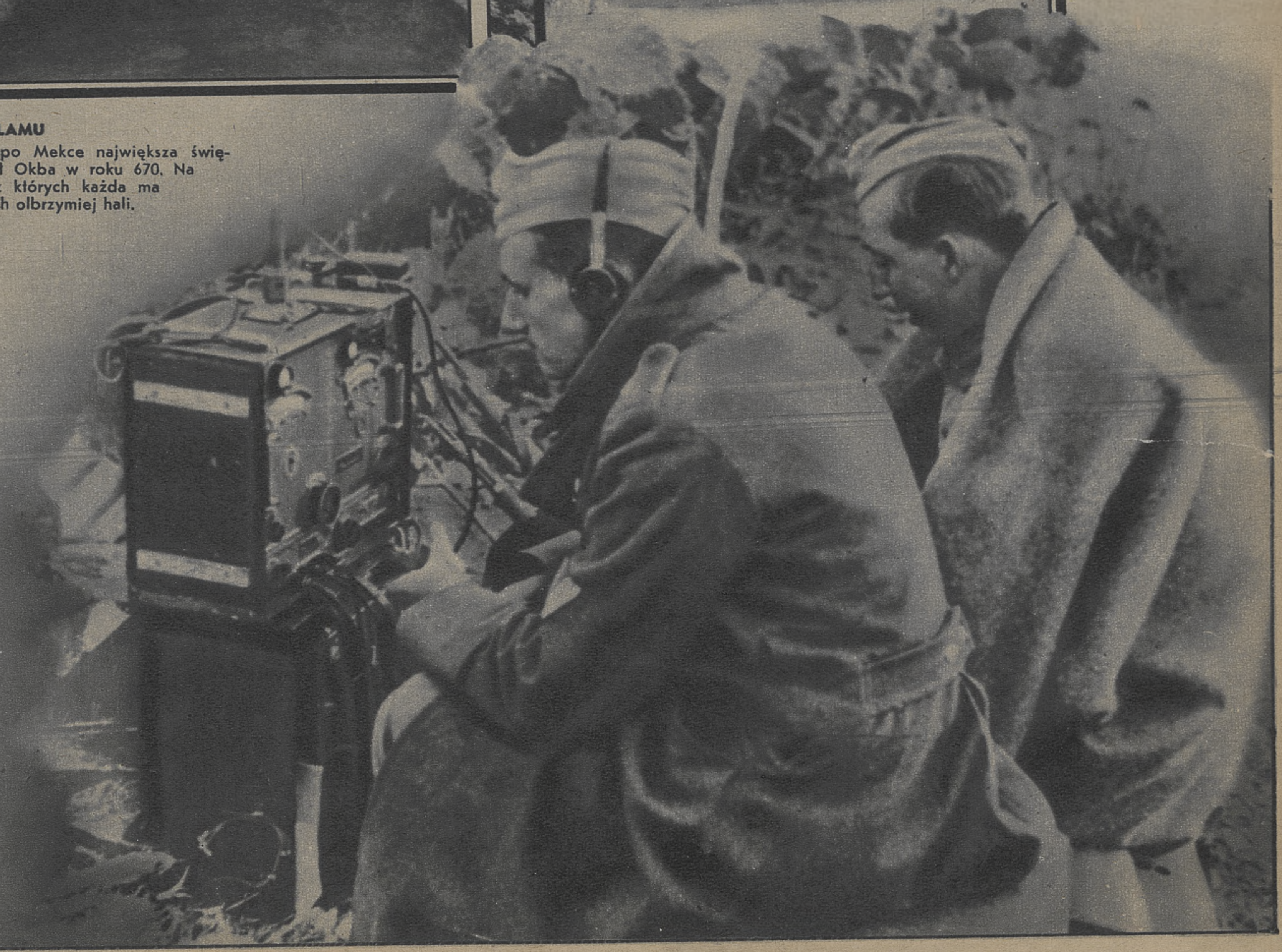
U góry:

ŚWIĘTOŚĆ ISLAMU

Meczet Sidi ben Ukba w Kairuanie, po Mekce największa świętość Islamu. Miasto i meczet założył Okba w roku 670. Na zdjęciu widzimy cały las kolumn, z których każda ma inny kapitel, a wszystkie dźwigają dach olbrzymiej hali.

Fot. P.K. Heidelauf P.B.Z. 1
P.K. Wörner P.B.Z. 2
P.K. Büschgens P.B.Z. 2
Tschira 3

stolica protektoratu, położony w pobliżu północnych wybrzeży Morza Śródziemnego między jeziorami. Z 220 000 jego mieszkańców około 100 000 to, Europejczycy. Drugim z kolei to; miasto portowe Bizerta, posiadające 30 000 mieszkańców, w czym 11 000 Europejczyków. Leży ono przy ujściu kanału przeprowadzonego od jeziora Bizerta do Morza Śródziemnego. W porcie tym woda osiąga głębokość 15 m. Między Bizertą i wybrzeżem Algieru znajduje się tylko mała przystań Taberka. Na wschodnim wybrzeżu Tunisu znajdują się porty Susa (30 000 mieszkańców), Sfax (44 000 mieszkańców) i nieco dalej na południe Gabes (18 000 mieszkańców), w którym to mieście kończy się wąskotorowa linia kolejowa wychodząca z Tunisu. Sieć kolejowa i drogowa w Tunisie jest dobrze rozbudowana. Jednotorowa linia kolejowa prowadzi z Tunisu przez Ghardinaou do Algieru i Casablanki. Pod Sidi Smail rozgałęzia się ta linia do Nebeur. Wymieniona powyżej linia kolejowa z Tunisu do Gabes biegnie wzdłuż wybrzeża i ma kilka rozgałęzień. Liczba ludności wynosi 2,3 miliona, w tym ponad 200 000 Europejczyków. Z Europejczyków tych mniej niż połowę stanowią Włosi, resztę Francuzi. Ludność tubylcza składa się głównie z Berberów. Dla wojska kraj ma pod dostatkiem żywności.



U dołu:

Z WALK W TUNISIE

Oddział niemieckich radiotelegrafistów usadowił się wygodnie za kolczastymi kaktusami i korzystając z doskonałej osłony nadaje swe meldunki.





CIEKAWE MOMENTY Z POLOWAŃ ZIMOWYCH POD BIEGUNEM PÓŁNOCNYM UTRWALONE NA TAŚMIE PRZEZ SPECJALNĄ EKSPEDYCJĘ FILMOWĄ ZE WSPÓŁUDZIAŁEM SZWEDZKICH ARTYSTÓW.

Fot. E. Witzleben i Peters

POLOWANIE NA DALEKIEJ PÓŁNOCY
Wiernymi towarzyszami fińskich myśliwych są oswojone orły i reny. Do ujarzmienia tych drapieżnych stworzeń potrzeba wiele cierpliwości i miłości. Ludzie północy posiadają ten dar i potrafili sobie z dzikich reniferów wychować zwierzęta pociągowe, a z orłów skalnych niezastąpionych towarzyszy do polowań.

PRZY CIEPŁYM KOMINKU
Noc zimowa wcześnie osłania tereny podbiegunowe. W taki wieczór po skończonej pracy myśliwi chętnie gromadzą się ubrani w olbrzymie futra w chacie myśliwskiej i opowiadają sobie przy wesoło trzaskającym ogniu o swoich niesamowitych przygodach.

TROFEA MYŚLIWSKIE POD NIEZAWODNĄ STRAŻĄ
Drogocenne skóry i futra upolowanych zwierząt układa się na dachu chaty w promieniach zimowego słońca, a wierne psy, które je przywiozły na saniach, pilnują bacznie zdobyczy.

MYŚLIWY SPOD BIEGUNA
Spojrzenie jego czysłe i twarde jak zima w jego ojczyźnie. Śmiało patrzy niebezpieczeństwu w oczy i nie cofnie się przed żadną przeszkodą.







POD BIE



OSADA NA DALEKIEJ PÓŁNOCY

Tylko rzadko spotyka się siedziby ludzkie. Nieliczne domy koncentrują się dokoła małego kościółka, jak to widzimy na zdjęciu.

W kole:

NIEDŹWIADEK W STRACHU

Na widok ekspedycji niedźwiedź, który zawsze jest poszukiwanym celem dla strzałów myśliwych, chroni się bojaźliwie na drzewo. Tym razem jednak los obszedł się z nim łaskawie, bo zamiast śmiercionośnych luf skierowane są na niego obiektywy.









ORZEŁ SKALNY — TOWARZYSZEM FIŃSKICH MYŚLIWYCH

Na wzór rzymskich legionistów fińscy myśliwi zabierają na swoje wyprawy orły, nie z bronzu jednak, lecz żywe, oswojone.

SENSACYJNE ZDJĘCIE DRAMATU POLARNEGO

Celne strzały położyły kilka wilków. Zgłodniali towarzysze rzucają się chciwie na zwłoki swoich braci, nie zważając na grożące im niebezpieczeństwo ze strony myśliwych.

To ciemne „coś" na drzewie po prawej stronie zdjęcia, to fotograf przywiązany do drzewa. Należy zwrócić uwagę na buty wyzierające spod futra.

TYSIĄCE RENIFERÓW FIŃSKICH NA POSZUKIWANIU POKARMU

Reny tylko na niezamieszkałych przez ludzi okolicach żyją w stanie dzikim. W osiedlach reny są zwierzętami domowymi i są miarą bogactwa ich właścicieli; majątek człowieka północy nie liczy się na pieniądze — które do dziś dnia są mało używanym środkiem wymiany — ale na ilość reniferów. Renifer zaopatruje człowieka w ciepłą odzież, w skóry, mleko i mięso i służy mu także jako zwierzę pociągowe, odporne na zimno i trudy klimatu polarnego.



POTWORY





PEŁNE GROZY ODKRYCIE WOJSK NIEMIECKICH W SOWIECKIM OBOZIE LEŚNYM W ŚRODKOWYM ODCINKU FRONTU WSCHODNIEGO

GARNEK Z LUDZKIM MIĘSEM
W pobliżu kryjówki zauważył patrol niemiecki ognisko, nad którym znajdował się kocioł pełen ludzkiego mięsa, mającego stanowić posiłek tych potworów.

PRZEPIŁOWANE CZASZKI
Znaleziono też nieco dalej w lesie czaszki poległych żołnierzy sowieckich, przepiłowane na wysokości czoła. Mózg z czaszek był już wyjęty.



W olbrzymich lasach ciągnących się w pewnej odległości poza środkowym odcinkiem frontu wschodniego dokonano mrożącego krew w żyłach odkrycia. Jedna z niemieckich formacji mająca za zadanie przeszukać te tereny natknęła się, już po pierwszych opadach śnieżnych, na ślady wiodące w głąb bezdrożnej puszczy. Ślady te zaprowadziły patrol niemiecki, z całą ostrożnością posuwający się za nimi, do kryjówki bolszewików znajdującej się w niedostępnym odległym rejonie leśnym. Po krótkiej strzelaninie, wydobyto z jaskini i wzięto do niewoli kilkunastu bolszewików. Przy dokładnym badaniu najbliższego otoczenia znaleziono kilka wygasłych ognisk z resztkami kości. Wygląd kości nasuwał podejrzenie, że są one ludzkiego pochodzenia. W czasie przesłuchania wyznali bolszewicy co następuje: żyli oni już kilka tygodni w tej jaskini, do której się skryli po rozbiciu ich oddziału przez wojska niemieckie. W ciągu tego czasu zbierali oni trupy bolszewickie znajdujące się w lesie i przywlekali w pobliże swej kryjówki, by je następnie spożyć. Jeden z bolszewików oświadczył, że mózg ludzki bardzo mu smakował. Przy pomocy małej ręcznej piłki rozcinał czaszkę i wyjmował mózg. „Jeżeli mięso ludzkie jest dobrze upieczone — mówił — smakuje ono nie najgorzej". Ten wypadek kannibalizmu stanowi nowe potwierdzenie całego szeregu podobnych faktów, które od roku 1941 komisje sądowo-lekarskie mogły stwierdzić w różnych odcinkach frontu wschodniego. Już w ubiegłym roku jak sobie zapewne nasi czytelnicy przypominają, donosiła obszernie prasa o podobnych wypadkach kannibalizmu, które miały miejsce w katakumbach Odessy i tam zostały wykryte przez rumuńskie władze wojskowe.



Sensacyjne zdjęcia, które dziś publikujemy dadzą naszym czytelnikom pełne grozy wyobrażenie o zwyrodniałych instynktach bolszewików, którym na pastwę miała być na dłuższy czas wydana Europa według życzeń Anglików i Amerykan.

U dołu:
JAMA BRZUSZNA ROZCIĘTA BAGNETEM
Wyjęto przez nią serce i wątrobę.

Fot. A.T.P. 6



PEŁNE GROZY ODKRYCIE
Pierwsza ofiara zwyrodniałych bolszewików. Znaleźli ją niemieccy żołnierze w gęstych zaroślach z rozpłataną piersią i noszącą aż nadto wyraźne ślady straszliwych czynów.





Na lewo:
POBOJOWISKO
W niewielkiej odległości od pierwszego trupa sowieckiego znalazł niemiecki patrol cały stos poległych w bitwach żołnierzy sowieckich, których pozostali przy życiu towarzysze ćwiartowali i spożywali. Pełen grozy obraz mrożący krew w żyłach.



8. ciąg dalszy

Wstał. Flora również podniosła się. Jak zwykle podała mu obie ręce, które nareszcie ośmielił się ucałować znacznie dłużej, niż zwykle. Po raz pierwszy też powstało w duszy jego szaleńcze przypuszczenie, że miłość jego nie jest bezwzajemna, że cudne oczy patrzą na niego niekoniecznie tak, jak na przyjaciela i towarzysza z lat dziecinnych. Walczył że sobą, by jej nie porwać w ramiona. Ona tymczasem zgadła już, zrozumiała nareszcie, że on ją kocha, bardzo kocha — i dusza szalała w niej ze szczęścia.

XVI.

Do pokoju Edyth wszedł Cuma. Od progu już topił w twarzy jej oczy połyskujące, jak żagwie. Oczy te były druzgocące, wszechmocne. Powieki Edyth opadły ciężko: spała.

Cuma podszedł do niej i uważnie zajrzał w jej twarz.

— Spisz, Edyth?

— Tak! — odpowiedziała szeptem powolnym i słabym.

— Więc śpij tak długo, dopóki ci nie każę się zbudzić. Zanim zajdzie słońce wyjdziesz z domu i pójdziesz do Hotelu Wielkiego, rozumiesz?

— Rozumiem, ojcze!

— Każdemu, ktokolwiekby znalazł się koło ciebie, każesz spać tym samym snem, jakim sama śpisz w tej chwili. Czy zrozumiałaś mnie i czy zrobisz, jak ci nakazałem?

— Zrobię! Wszyscy będą spać tak, jak ja śpię w tej chwili.

— Dobrze — rzekł Cuma. — Ale gdyby mimo to ktoś usiłował cię zatrzymać, zabijesz go! Ukryj nóż pod zasłoną.

— Zabiję ojcze, o! zabiję! — krzyknęła z radością Edyth.

— Zawołasz do siebie Florentynę i przyprowadzisz ją tu!

Edyth nie odrzekła nic.

— Przyprowadzisz ją tu! — powtórzył z naciskiem Cuma.

Lecz Edyth nie potwierdziła rozkazu. Twarz jej stawała się coraz bledsza, a oddech coraz spieszniejszy.

— Przyprowadzisz ją!

Na czoło Edyth wystąpił kroplisty pot.

— Zrobisz jak ci każę?

Zatrzęsła się.

— Nie! — wykrztusiła przez ściśnięte zęby.

Jej biedna dusza zbuntowała się. Edyth poprzednio sama może nie zgadywała w sobie siły, na którą zdobyła się w obronie Florentyny.

— Co mówisz? — spytał ochrypłym głosem Cuma.

— Nie pójdę!

Dotknął ręką jej czoła.. Jęk wydarł się z jej ust.

— Pójdziesz!

— Nie! Nieeee!

Na usta jej wystąpiła różowa piana. Była blada, jak trup i szara równocześnie. Pot obfity spływał po jej czole, szyi i plecach. Szarpała się i drżała, ostatkiem sił broniąc strasznemu nakazowi dostępu do swej duszy.

Cuma objął dłońmi jej głowę i przechyliwszy ją w tył, zatopił oczy w drgających powiekach Edyth.

— Przyprowadzisz, ją Edyth... — mówił głosem tak strasznym, że Edyth zwijała się w przerażeniu i męce. Przez zamknięte powieki działał na nią potężny wpływ hypnotyzujących źrenic. Całą jej istotę przejęła ohydna trwoga, tysiąckroć gorsza od samej śmierci.

— Och! och! — krzyczała Edyth. Chciała rzec jeszcze jakieś słowo sprzeciwu, ale język zdrętwiał jej. Płomienie objęły jej mózg, twarz i serce.

Przechyliła się w tył, jak martwa: była zwyciężona.

— Pójdę! — rzekła z rezygnacją.

Cuma wciąż patrzył na nią. Niespodziewany opór, po prostu niezrozumiały dla niego, dał mu poznać, jak silne było przywiązanie córki do Florentyny.

— Spocznij, Edyth, jesteś bardzo zmęczona!

Twarz Edyth pogodniała zwolna. Widać było, że faktycznie przyszło na nią uspokojenie. Żyła już innym życiem, w którym nie odczuwała ni smutku, ni rozpaczy.

Po chwili Benedykt począł mówić znów:

— Przeczytaj w myślach moich! czy zamierzam ją zabić?

Edyth milczała chwilę.

— Nie! — rzekła. — Ty jej nie chcesz zabić!

— A widzisz. Czytaj dalej czy mam wobec niej jakiś zły zamiar?

— O, nie! Ty ją kochasz! Ty jej nie zrobisz nic złego!

Cuma uśmiechnął się.

— Poszukaj siebie w myślach moich i powiedz, czego pragną dla ciebie!

— Chcesz mi dać wolność! Mnie chcesz puścić, ale Florę będziesz chciał zatrzymać! Ja bez niej nie pójdę nigdzie!

— Więc zostaniesz tu z nią. Będzie tak, jak ona każe.

Oddech Edyth był coraz słabszy. Cuma widział, że trzeba kończyć prędko.

— Pamiętasz wszystko, co masz zrobić?

— Pamiętam wszystko! — rzekła głosem, nie budzącym żadnych wątpliwości.

— Więc zbudź się z tego snu, jakim śpisz teraz, a zaśnij takim, jakim śpisz w nocy. Zaś gdy słońce zacznie zachodzić staniesz się znowu posłuszną mojej woli.

Cuma przechylił się i dmuchnął jej w twarz. Ciało Edyth zadrżało, jakby je przebiegł elektryczny prąd, a potem opadło miękko na fotel. Twarz jej odzyskała już całkowicie swój naturalny wyraz, a oddech stał się spokojny i równy.

Edyth spała.

Ojciec wziął ją na ręce i zaniósł na łóżko, raz jeszcze spojrzał w jej twarz i wyszedł.

XVII.

Ciemność była tak wielka, że duża elektryczna lampa, umieszczona nad głównym wejściem do Hotelu Wielkiego, oświetlała tylko fronton budynku, przed którym, wzdłuż chodnika, przechadzał się miarowym krokiem, uzbrojony stróż nocny, ustanowiony przez Florentynę od czasu zaginięcia Agnes Balfoor.

Reszta pensjonatu, ogród, kort tenisowy i boczne części dziedzińca ginęły zupełnie w mroku.

Ale oprócz stróża nocnego czuwał ktoś jeszcze, dla niego niewidoczny: Stanisław Grzebiński, ukryty w gąszczu krzewów, rosnących tuż pomiędzy pensjonatem, a ogrodem. Ubrany był w sportowy garnitur i turystyczne buty, jakby wybierał się na wycieczkę górską, — a za pas zatknięty miał nóż myśliwski. Od szeregu tygodni już czuwał tak co noc, nie zważając na deszcze i burze.

Bystrym jego uszom nie uszedł najdelikatniejszy szelest nocy. Jego sokole oczy, zwrócone bezustannie to na okna Florentyny, to na okolicę, stały się tak czujne, że w oddaleniu kilkunastu metrów od pensjonatu widział każde poruszenie gałęzi na drzewach.

Około godziny dziesiątej w stronie Nowego Targu, nad górą niebo poczęło siwieć. Wierzchołki rosnących na szczycie drzew rozsrebrzały nagle i stały się tak wyraźne, że niemal można je było liczyć.

Siwa jasność zmieniła się powoli w gorącą białość i zatoczyła olbrzymie półkole, posuwając się wciąż ku środkowi nieba. Las na szczycie stanął w płomieniach, a na zbocza położyły się leniwie sino-białe refleksy.

Stanisław dziesiątki razy w życiu widział wschód księżyca, a jednak oddech wstrzymywał w zachwycie, drżąc, jak w oczekiwaniu cudu. — Jeszcze chwila! Jeszcze chwila!

Średnica jasności zmieniła się w jaskrawe złoto, a w złocie tym coś zdawało się kotłować, drżeć, dygotać...

Stanisław rękami przesłonił oczy: — Już? Jeszcze nie? Już!? — Gdy po długiej chwili odjął ręce od twarzy pod powieki buchnęła mu oślepiająca jasność. Otworzył prędko oczy: na niebo wypłynęło najcudniejsze natchnienie poetów: pełnia!

Najbliższe gwiazdy znikły natychmiast, jak zdmuchnięte z nieba. Przy księżycu pozostał tylko olbrzymi świetlany krąg, przepleciony subtelnymi, zaledwie rozróżnianymi kolorami tęczy. A pełnia spokojnie wspinała się ku środkowi nieba zalewając świat srebrnozłotym potopem.

Zrobiło się nieprawdopodobnie cicho. Nagle w powietrzu śmignął nietoperz. Leciał prawie bez szelestu, a powietrze zdawało się drżeć od zgrzytu i huku. Stanisław schylił głowę i ukrył ją w ramionach, a nietoperz na sekundę przysłonił księżyc — i zniknął w gęstwinie drzew.

Zrobiło się jeszcze ciszej niż przedtem.

A Stanisławowi zrobiło się na sercu tak jakoś ciężko.

Tymczasem pełnia schylała się coraz niżej, ukryła jasny rąbek za górą, aż wreszcie zrobiło się zupełnie ciemno.

Gdzieś w oddali odezwał się długi, przeciągły szum. Powiał głucho, posępnie i ustał, ale nim skonał, bliżej gdzieś odpowiedział mu szum podobny. Nim i ten ustał, odpowiedział mu trzeci, czwarty, piąty... z góry, z dołu, z tyłu, z boku — ze wszystkich stron, ze szczytów górskich, ze zboczy i dolin. To zrywał się górski wiatr.

Nad Stanisławem gałęzie rozwarły się, jak przedarty gwałtownie baldachim i w usta, w płuca buchnął mu wiatr pachnący, a ostry, jak nóż. Wstał, by na chwilę rozprostować zdrętwiałe nogi, odprężyć ramiona. Coś z całą siłą uderzyło go w piersi, aż cofnął się w tył pod tym dziwnym wrażeniem. Równocześnie poczuł szalony zawrót głowy, jakby tracił przytomność. Ciało jego i wszystkie zmysły, wzrok, słuch, dotyk, zaatakowały tysiące rozpalonych szpilek. Było to uczucie tak fizyczne, realne, że Stanisław otrząsnął się, jakby istotnie chciał zsypać z siebie te szpilki, palące jak żywy ogień. Udało mu się to. Znów w umysł jego wstąpiła jasność i przytomność.

— Co to jest? Co się dzieje? — Dostrzegł z przerażeniem, że stróż nocny nagle zatrzymał się przy rogu budynku, usiadł na ziemi, przyłożył do niej głowę, zupełnie jak dziecko, kładące się do snu — i znieruchomiał.

W tej samej chwili Stanisław poczuł nowy atak palących szpilek. Miał wrażenie, że lada sekunda opuści go przytomność, ale zebrał się w sobie i skupił, wszystkie siły swej duszy wytężył w kierunku zachowania przytomności — i szpilki obiły się o niego, jak o marmur. Za chwilę zaatakowały go znowu, wściekłe, nieustępliwe, groźne. Tym razem już odrzucił je od siebie z łatwością. Ale nie szedł z pomocą stróżowi: zrozumiał, że to coś, oczekiwane, tajemnicze i straszne, przed czym ostrzegała go nieszczęśliwa, a tak dobra Edyth.

Spojrzał na polanę przedleśną, oświetloną niewyraźnie mdłym światłem lampy hotelowej — i znieruchomiał, jakby wrósł w ziemię:

Z głębi leśnej wynurzyła się jakaś postać, owinięta ciemnym płaszczem i szła pomału w stronę hotelu, tym właśnie kawałkiem polany i dziedzińca, pomiędzy kortem tenisowym i ogrodem, który był oświetlony lampą.

W miarę, jak zbliżała się ku pensjonatowi, w świetle lampy stawała się coraz wyraźniejsza, nabierała kształtów, barw, życia. Stanisław z zapartym oddechem śledził każde poruszenie się tej dziwnej postaci, podchodzącej ku niemu coraz bliżej. Wreszcie przeszła tuż, mijając go. Spojrzał w jej twarz — i w głowie zakręciło mu się okropnie, świat cały zawirował mu przed oczyma, chciał krzyczeć, ale oddech zamarł mu w piersi i stał skamieniały, zdumiony, przerażony do szpiku kości: poznał Edyth Ferallano.

Nie widziała go. Poszła dalej i zatrzymała się pod oknem Florentyny. Gdy stanęła w kręgu jasności i podniosła głowę ku górze, zauważył, że twarz jej była blada i martwa, a oczy zamknięte.

Cicho jak kot poszedł za Edyth i czekał, co będzie dalej.

Edyth czas jakiś stała z twarzą wzniesioną w stronę okien Flory. Nagle przemówiła szeptem tak cichym, że Stanisław zaledwie dosłyszał go:

— Floro, czy śpisz?

Musiała otrzymać odpowiedź twierdzącą, bo rzekła znów:

— Więc śpij dalej: Wstań z łóżka i podejdź do okna!

Stanisławowi serce ustało w piersiach. Ze drżeniem niepokoju patrzył w otwarte okno Flory i dojrzał przerażony, jak po chwili zajaśniała w nim biała postać.

— Floro! — mówiła cichutko Hiszpanka — ubierz się w tę jasną suknię, którą miałaś na sobie w Paryżu na koncercie, wdziej płaszczyk, bo jest chłodno i wiatr wieje. Zejdź tu do mnie!

— Dobrze, Edyth! — wionął z piętra delikatny szmer.

Po chwili znowu w oknie stanęła Flora, a Edyth spytała:

— Jak to, nie ma go? Gdzie mógł się podziać?!

Stanisław zorientował się natychmiast, że chodzi o klucz od bramy, który od czasu nocnego stróżowania zawsze miał przy sobie.

— Zejdź na dół — ciągnęła Edyth — i wyskocz przez okno w jadalni! Ja cię chwycę!

Po chwili okno w jadalni zaczęło połyskiwać i ruszać się. Flora otworzyła je, podniosła się na parapet i lekko skoczyła w dół. Edyth wzięła ją za rękę i kierując się w stronę lasu, tą samą drogą, którą przyszła, rzekła:

— Chodź!

Poszły. Grzebiński szybko wrócił do drzewa, za którym był początkowo ukryty, błyskawicznie narzucił na siebie plecak, nacisnął czapkę na głowę i pobiegł za nimi.

XVIII.

Florentyna zbudziła się około południa. Leżała na wygodnej pościeli. Skądś z góry płynęło ku niej świeże powietrze. Przymknęła oczy i z rozkoszą wciągała je w płuca: było nieskazitelnie czyste. Natychmiast uświadomiła sobie, że jest to powietrze górskie; miało przy tym cudny, upajający zapach.

Usiadła na łóżku i ze zdumieniem spoglądała na leżącą obok i w twardym śnie pogrążoną Edyth.

W sercu jej odezwał się silny niepokój. Zsunęła się z łóżka i szybko dążyła ku drzwiom. Przebiegała tak z sali do sali. Nikt jej nie zatrzymał. Wszędzie było pusto i cicho.

W końcu znalazła się w długim i ciemnym trochę przedpokoju. Szybko przebiegła go mijając wciąż liczne, zamknięte drzwi — i nagle okrzyk zachwytu wyrwał się z jej piersi.

Stała nad schodami. Kilkadziesiąt ich, ułożonych w półkole, prowadziło do ogrodu, który leżał nisko, jakby u stóp Flory. Zbiegła po tych schodach i wpadła pomiędzy drzewa.

Znajdowała się w ogromnym ogrodzie, cudnym jak ewangeliczny raj. W miarę jak zagłębiała się w ogród, coraz silniej uderzał w nią cudny, już w pokoju wyczuty zapach. Nic piękniejszego nie spotkała dotąd w swym życiu. Za wszelką cenę usiłowała przypomnieć sobie ten zapach — i nie mogła. Nie znała go. Uprzytomniwszy to sobie, zdjęta zdziwieniem i ciekawością, postanowiła koniecznie odszukać roślinę, wydającą tak cudną woń.

Przebiegając pomiędzy drzewami zauważyła, że gęstwina poczyna się nagle rozrzedzać. Nagle drzewa skończyły się, jak odcięte. Flora ujrzała niczym nie przesłoniętą wolną przestrzeń, w rodzaju leśnej polany. W jednej chwili olśnił ją błysk tak silny, że ramionami przesłoniła oczy. Gdy odjęła ręce od twarzy i — oswoiwszy się nieco z dziwną, oślepiającą jasnością, — spojrzała przed siebie, z piersi jej wydarł się krzyk: W ciepłych ramionach górskiego wiatru kołysała się na różowych smugach słońca roślina tak cudnej piękności, że najgenialniejsza fantazja nie byłaby w stanie wyśnić czegoś równie wspaniałego!

Kielich jej był ogromny, jak misa. Wielkie płaty, grube i mięsiste, mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Z granatu przechodziły w subtelne odcienie turkusu, by już w następnej chwili zmienić się w jutrzenkową różowość, a z niej — przez wszystkie gamy i odcienie — przejść w wilgotny szkarłat krwi. Zanim oko zdążyło pochwycić tę czerwień, już ona zmieniała się w ciemny szmaragd i jaśniała stopniowo, ukazując odcienie zieleni, aż po najdelikatniejszy seledyn. Seledyn zmieniał się natychmiast w płomień dojrzałej pomarańczy, który bladł stopniowo, by wreszcie roztopić się w liliowej białości. Brzegi płatów wysadzone były jakby całą masą dużych brylantów, biało-srebrnymi punktami. Punkty te właśnie wytwarzały nad kwiatami oślepiającą jaśń, która w pierwszej chwili uniemożliwiła patrzenie w kwiat.

Kwiat był wysoki przeszło na półtora metra. Łodygę miał silną i grubą, a po niej pięły się w górę wielkie, jak parasolki, okrągłe liście, koloru ciemnego fioletu, przechodzącego przy łodydze w czerwień.

Za każdym podmuchem wiatru nieprzeliczone zastępy wielkiego kwiecia kłaniały się wdzięcznie osłupiałej i zmartwiałej z zachwytu Florentynie.

Poczęła okrążać łan, wreszcie znalazła wąską ścieżkę wśród kwiecia. Wstąpiła na nią i szła przed siebie, mrużąc oczy przed jaskrawą tęczową jasnością. Szła tak dosyć długo i nagle znalazła się naprzeciw stawu. Nad nim unosiło się coś, na podobieństwo olbrzymiej puszki z przeźroczystego szkła. Puszka ta, wprawiana w ruch niewidzialną siłą, obracała się bezustannie dokoła swej osi.

Flora stanęła nad brzegiem wody i poczęła zaglądać do wnętrza, gdzie rysowały się, niewyraźne z początku, jakieś kształty. A w miarę, jak patrzyła, różana jej twarz stawała się coraz bledsza —, aż uczyniła się bieluchna, jak opłatek... Oczy jej otwierały się coraz szerzej; nagle kolana załamały się pod nią. Rzuciła się twarzą na piasek, zanosząc się histerycznym płaczem i krzycząc tak, jakby samą siebie tym krzykiem chciała przerazić i podniecić. Od czasu do czasu podnosiła nad ziemią bladą jak chusta twarz, by patrzeć w głąb szklanego pudła:

Wewnątrz leżały, ustawione jedna przy drugiej, płytkie marmurowe trumny. Niektóre z nich były puste, ale w wielu leżały jakieś ciała kobiece. Każde z nich miało w okolicy serca okropną ranę. I leżały ciche, nieruchome, smutne... Szklane pudło obracało się wciąż i wciąż ciała te wracały przed oczy Flory. Wśród nich rozpoznała Janinę Mierzyńską i jej płomienne włosy. Potem było kilka obcych twarzy, a za nimi ujrzała Flora słodką twarzyczkę Ewy Bronówny... Potem znowu obce twarze — a za nimi rasowe oblicze ślicznej Agnes Balfoor...

Zerwała się, by pobiec przed siebie na oślep, choćby w przepaść, choćby rozbić głowę o pień najbliższego drzewa, by tylko stracić z oczu ten straszny widok.

Odwróciła się do ucieczki — i w tej samej chwili ujrzała przed sobą niezwykle wysoki ludzki kształt, uparte seledynowe oczy i twarz jakąś tak ohydnie brzydką, odrażającą i straszną, że stargane poprzednimi wrażeniami

nerwy odmówiły jej posłuszeństwa: nie odetchnęła nawet i stoczyła się zemdlona do nóg milczącego widma.

A widmo schyliło się, uniosło ją z ziemi z taką łatwością, jakby była źdźbłem trawy, lub zgubionym przy drodze kwiatem — i ścieżką wśród roślin podążyło pospiesznie w głąb ogrodu, ku budynkowi.

XIX.

Benedykt Cuma długo cucił Florentynę, nim okazała pierwsze oznaki życia. Ale już po odzyskaniu przytomności leżała z zamkniętymi oczyma, oddychając tak słabo, jakby oddech ten lada chwila miał ulecieć wraz z życiem z jej piersi.

Usiadł obok niej i objął palcami jej rękę w przegubie.

— Nie bój się mnie! — rzekł dziwnie miękkim głosem.

Wzdrygnęła się pod jego dotknięciem, lecz nie rzekła nic, tylko wyrwała mu rękę.

— Nie bój się mnie! — powtórzył, — nie zrobię ci żadnej krzywdy.

Florentyna milczała. Skupiała myśli, obmyślając drobiazgowo plan nie walki, lecz zemsty.

Cuma źle zrozumiał to milczenie. Przysunął swą potworną twarz do ucha Flory i szeptał:

— Po co tam poszłaś? Ja chciałem zaoszczędzić ci tego! Tobie jednej! Tamte potrzebne były moim kwiatom, a Ty jesteś potrzebna tylko mnie! Zniszczę to wszystko, jak każesz! Zostaniesz tu ze mną i kochaj mnie — kochaj! kochaj! kochaj!...

Ręce zwyrodniałego starca objęły kibić Flory.

Wyrwała mu się błyskawicznie.

— Nędznik! — wycedziła przez zęby.

— Odważna jesteś! — Ale na pewno słodziej mówić będziesz, gdy ci śmierć stanie przed oczyma!

— Nigdy! nigdy! — wybuchnęła Flora. — Jeżeli mam umrzeć, to umrę, ale przed śmiercią jeszcze w twarz ci plunę, zbrodniarzu!

Skurczyła się jak kot, i szła ku niemu nieprzytomna z gniewu, groźna i straszna.

Cuma cofnął się przed nią. Ale nie z obawy: wszak w porównaniu z nim była słaba, jak dziecko. Jej cudna uroda oszałamiała go. Tracił przytomność z zachwytu.

Postępowała za nim z zaciśniętymi piąstkami. W ten sposób wyprowadził ją do następnej sali. Było to laboratorium. Stoły, stoliki, nawet okna, zastawione były niezliczoną ilością probówek, szkieł, słoików, flakonów i dziwnych instrumentów.

Flora zatrzymała się w progu. Ale nim miała czas ochłonąć z gniewu, Cuma chwycił ją za obydwie ręce i gwałtownie przyciągnął ku sobie.

Krzyknęła z przerażenia i wstrętu. Poczęła się z nim szamotać i zdołała wreszcie wyrwać się z jego rąk. Odskoczyła na środek pokoju. Cuma znów znalazł się przy niej.

Nagle Flora dojrzała dzban, powalany jakąś czerwoną cieczą. Błyskawicznie skoczyła ku niemu i porwawszy go, mściwie gruchnęła nim w ohydną głowę. Chybiła, bo — chcąc uniknąć ciosu — Cuma przechylił się zbytnio i upadł. Flora wypadła przez drzwi, jak wicher przeleciała korytarz, zbiegła po schodach i poczęła uciekać w głąb ogrodu. Ale za sobą słyszała już kroki. Zakotłowało się jej w głowie i odrętwienie jakieś dziwne poczęło ją chwytać za nogi. Jeszcze kilka kroków — i kolana załamały się pod nią. Uklękła na żwirze. Zakryła oczy dłońmi, nie śmiejąc oddychać. A goniący był już przy niej! Odjął jej ręce od twarzy łagodnie, miękko...

— Florentyno! — szepnął cichy głos.

Zatrzęsły się w niej wszystkie żyłki. Podniosła oczy: Stanisław! Ach! nie miała czasu zdziwić się, że to on, pomyśleć, skąd się tu wziął! Wiedziała tylko, że to zbawca, że to ktoś bliski, życzliwy, nie wróg...

Wybuchnęła spazmatycznym ł k a n i e m. Objął ją ramionami i kołysał na piersiach tę główkę droższą, niż życie.

Uciszała się zwolna. Posadził ją na ławce, niespokojnie patrząc w jej twarz, na którą wybiły chorobliwe rumieńce.

Nagle skoczyli oboje na równe nogi. W głębi domu rozległ się przeraźliwy krzyk:

— Florentyno! Florentyno!

— To Edyth! Edyth woła! — krzyknęła z rozpaczą Flora.

— Uciekaj, Floro, uciekaj! — wołał głos Edyth. — Aaaa!

Oddech zamarł im w piersi. Stanisław wyjął pospiesznie rewolwer i odwiódł cyngiel, a zza pasa wyciągnął nóż.

— Niech pani się broni, gdyby ktoś nadszedł — rzekł oddając broń i nóż Florentynie i, nim skończył mówić, skoczył — zupełnie bezbronny — aleją ku domowi...

XX.

Edyth obudziła się. Była tak zmęczona i osłabiona, że z trudem usiadła na [illegible]ku. Oczy jej padły na fotelik, i twarz jej stała się popielata, a oczy rozwarły się, jakby chciały wyskoczyć z orbit: poznała płaszcz Florentyny.

— Jak to? Jak to? Flora tutaj? — Nie! To nie może być!

Zerwała się i poczęła krążyć jak obłąkana, po wszystkich pokojach, krzycząc przeraźliwie:

— Uciekaj, Florentyno! Uciekaj! — Aaa!...

Ostatni okrzyk wydała na widok ojca, gdy znalazła się w korytarzu. Z wyglądu jego i zachowania wywnioskowała, że musiało coś zajść, a Florentyna zdołała uciec mu.

Poprzysięgła sobie więc w duszy, że zatrzyma go, choćby miała zginąć. Upadła przed nim na kolana, patrząc błagalnie w jego seledynowe oczy.

— Precz! — krzyknął. Odepchnął ją i skoczył naprzód. Zerwała się, i zastawiła mu dalszą drogę swoją osobą. Odepchnął ją znów. Rzuciła się całym ciężarem ciała pod jego nogi. Upadł. Zmagali się teraz na śmierć i życie. Edyth chwytała ojca za włosy, za ręce, plątała mu się w nogach, uniemożliwiając powstanie.

Wtedy porwała go wściekłość wprost zwierzęca. Żółte kły błysnęły mu dziko spoza sinych, spienionych warg. Ręką namacał ostry sztylet, zatknięty za sznur, opasujący jego długą białą sukmanę.

Sekunda. — Coś błysnęło nad głową Edyth i w tej chwili ktoś krzyknął w drzwiach. Ręka z nożem znieruchomiała. Botanik podniósł głowę i dojrzał w progu Stanisława. Nóż wypadł mu z ręki. Edyth natychmiast porwała go i odskoczyła w głąb korytarza.

Cuma powoli wstał i schyliwszy swą olbrzymią postać począł chyłkiem, pod ścianą, iść Grzebińskiemu na spotkanie.

Stanisław zorientował się, że walka w korytarzu musiałaby skończyć się jego klęską, postanowił więc wywabić Cumę do ogrodu i począł nagle uciekać.

Podstęp udał się. W ten sposób wypadli do ogrodu i poczęli wzajem uganiać za sobą. Niebawem znaleźli się za domem, na płaskiej przestrzeni, o powierzchni kilku metrów kwadratowych, nad bezdenną niemal przepaścią.

Tarzali się po ziemi, usiłując nawzajem strącić się w czeluść. Podstawiali sobie nogi, obejmowali się pod ręce i za gardła ubezwładniającymi chwytami. Cuma był nadludzko silny . Grzebiński był za to młodszy i zręczniejszy. Wciąż więc zwycięswo przechylało się to na jedną, to na drugą stronę.

Tymczasem Florentyna poczęła niepokoić się o Stanisława. Był przecież zupełnie bezbronny. Postanowiła pospieszyć mu z pomocą, tym bardziej, że ryki Benedykta Cumy, rozlegające się po całym ogrodzie, wydawały jej się coraz bardziej groźne i zwycięskie. Poczęła biec w kierunku tych krzyków i w ten sposób przybiegła aż na skalny cypel na którym zmagali się. Zobaczywszy Stanisława nad przepaścią w straszliwym niebezpieczeństwie, krzyknęła ze zgrozą.

— Jezus, Maria!

Usłyszeli ją: Cuma znieruchomiał na chwilę ujrzawszy ją. Moment ten wykorzystał Stanisław i nagle pchnął go straszliwie w tył.

Długie ciało Benedykta Cumy na moment zawisło w powietrzu.

Florentyna krzyknęła przeraźliwie, i podniósłszy nagłym ruchem ramiona przesłoniła nimi głowę. Równocześnie przeszył powietrze nieludzki ryk, rozległ się łoskot ciała, obijającego się o skalne zręby — potem nastała cisza.

Flora odsłoniła głowę. Oczyma poszukała Stanisława.

Stał jak ogłuszony, dysząc ciężko. Po jego twarzy spływały wielkie krople potu. Płonące gorączką oczy zwróciły się zwolna ku Florentynie. Nie było w nich triumfu — przeciwnie: wyzierał z nich śmiertelny smutek i coś jakby zdziwienie.

W tej chwili żwir na ścieżce począł zgrzytać pod szybkimi krokami. Florentyna i Stanisław równocześnie odwrócili głowy. Ujrzeli przed sobą Edyth.

Na ich widok zatrzymała się. Oczy jej poczęły szukać kogoś...

— Gdzie jest?...

Urwała. Brakło jej tchu.

Stanisław nie odpowiedział

Domyśliła się. Ukryła twarz w dłoniach. Flora dostrzegła po chwili, jak przez palce trysnął jej strumień łez. To płakała córka wiernej, kochającej Hanneh...

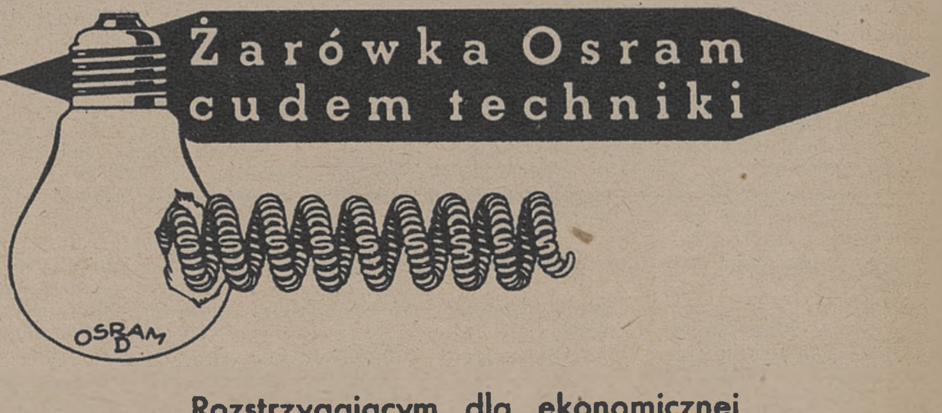
K o n i e c

Kończąc dzisiejszym odcinkiem powieść „Krzyk w górach" podajemy do wiadomości naszych P. T. Czytelników, że z powodów od nas niezależnych i ze względu na nieprzewidziane przez nas trudności techniczne zmuszeni byliśmy wykonać duże obcięcia i skróty, przeprowadzone w porozumieniu z autorką.

Redakcja

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900





NASZA DZIECINA

M. DALBORÓWNA

„...Właściwie nie wiem, po co piszę ten list...

Sam sobie zdaję się niedorzecznym i śmiesznym w tej chwili. Przecież mam Ciebie w pokoju obok i wystarczy mi przejść parę kroków, lub tylko podnieść głos, by przywołać Cię do siebie!... Na pewno przyszłabyś odrazu, Mario, kochana ma żono!... Rzucasz każdą robotę, gdy tylko usłyszysz mój głos — z troską, z tkliwością w spojrzeniu zaglądasz mi w oczy i odgadujesz w nich życzenie każde, czy myśl.

Nie chcę Cię niepokoić. Możebyś się przelękła, a tego chcę Ci oszczędzić... Przecież to minie, przejdzie bez śladu!... Nieraz było mi gorzej, czułem się bardziej osłabiony. Zwłaszcza po tych atakach. A przecież ostatnio było mi już właściwie całkiem dobrze i czułem się silny.

Ale dziś... Jest mi jakoś dziwnie i boję się tej nocy, która nadchodzi. Nigdy nie lękałem się niczego. To dziwne... Czuję wewnętrzny jakiś nieuzasadniony może, ale silny nakaz, by napisać do Ciebie. To jedno, co jeszcze mogę zrobić, to sięgnąć po pióro...

Od biurka do drzwi jest tak daleko... Trzeba wstać, trzeba odsunąć fotel, przejść na ukos przez ten dywan przed stołem, minąć biblioteczkę. To zdaje mi się niemożliwością, wyczynem nad siły. Jak gdybym już nie miał podnieść się z tego fotela.

To znowu nie jest tak nic dziwnego. Mój stan, moja odporność jest i tak nad podziw wielka. Ale doktór mówił... Nie, nie będę pisał, co doktór mówił. I tak martwisz się tak bardzo moim stanem i domyślasz się wiele z tego, co tak bardzo chcę przed Tobą ukryć.

...Prawdopodobnie nigdy nie będziesz czytała tego listu. Gdy tylko będę miał dość siły na to i gdy tylko zwalczę to uczuce lęku — podrę go i zawołam na Ciebie.

Tęsknię do Twego głosu. Czuję się w tej chwili bardzo osamotniony i jestem pewny, że gdybyś była przy mnie, odeszłyby wszystkie te smutne myśli i te dziwne przeczucia...

Całą uwagę skupiłem na przysłuchiwaniu się temu, co dzieje się w pokoju obok. Zdaje mi się, że siedzisz teraz nad robótką na drutach. To będzie staniczek dla naszej małej, prawda? Widziałem tę kremową wełnę, którą przyniosłaś z miasta. Teraz pochylasz siwą głowę nad robotą i pilnie licząc oczka — cały czas myślisz o niej — tak jak ja. To będą takie maleńkie, strasznie zabawne i miłe rzeczy te majteczki, fartuszki, sweterki!...

Tego brakowało zawsze w naszym domu. Przez tyle długich lat, tylko my dwoje. Czasem było trochę smutno i za cicho. Ale było nam dobrze, prawda Mario?

Tyle Ci zawdzięczam i kocham Cię zawsze. Kochałem od tamtej, pierwszej chwili naszego spotkania, gdy byłaś małą dziewczynką z ciasno splecionymi warkoczykami z tyłu głowy i nie umiałaś wymówić nawet własnego imienia. Jak zabawną była Twoja powaga, gdy kazano Ci się przedstawić mnie, jako swemu groźnemu stryjowi. Pamiętasz tego „stryja" w krótkich spodenkach odsłaniających chude, niemożliwie posiniaczone i zadrapane kolana? Ja także byłem wtedy uroczysty, by utrzymać autorytet swego stanowiska wobec tej ładnej, małej dziewczynki, która powiedziała do mnie:

— Styju, ja jestem Maja!... —

Nie wymawiałaś wtedy jeszcze „r", Mario!...

Słuchaj Mario, tę naszą małą nazwiemy Mają, dobrze? Wiem, że w sierocińcu musiano jej już nadać jakieś imię. Na pewno nie silono się na dobry wybór. Będzie to jedno z tych imion pospolitych, dla niej nieodpowiednich. Ale z chwilą, gdy wejdzie w nasz dom, niech nazywa się Maja!... Nie trudno jej się będzie przyzwyczaić, jest na to dostatecznie mała.

Czy ona jest podobna do tamtej Maji? Kocham ją już, choć nie znam, i nie widziałem jej zupełnie. Czy w ogóle ją zobaczę?... Nie, nie Mario, nie myślę tego poważnie! Chociaż...

Słuchaj Mario, tak chciałbym być pewien, że weźmiesz tę małą do swego domu bez względu na to, co się stanie. Bez względu na to, co będzie ze mną!

Niech mała Maja rozjaśni nasz dom, napełni go gwarem i dziecinnym, dźwięcznym śmiechem!

Ta cisza u nas jest przytłaczająca. W tej chwili szczególnie. Takbym chciał, by wbiegła teraz tu do mnie taką mała, rozszczebiotana kruszynka, by położyła główkę na mych kolanach i powiedziała do mnie, tak, jak Ty przed laty: „stryjciu".

Ach, gdyby powiedziała „tatusiu"! Mario, to byłoby pięknie!

Dlaczego te ściany dookoła nas są takie posępne, nie rozbrzmiewają echem niczyjego śmiechu, piosenek, okrzyków? Ty siedzisz sama w tamtym dużym pokoju, a ja przy biurku w swoim gabinecie. A z nami cisza zupełna, bezwład, milczenie. Boję się czegoś, Mario!

To była świetna myśl, by wziąć do siebie dziecko z sierocińca. Tylko trochę późno...

Przyznam Ci się, żem wcześniej myślał o tym i chciałem porozumieć się z Tobą w tej sprawie. Wiedziałem, że uzyskałbym Twą zgodę, ale bałem się urazić Ciebie. Nie chciałem przyznać się przed Tobą, że mi tak boleśnie brak dziecka, jego jasnego głosu i roześmianego spojrzenia..., że całe lata tęskniłem za tym i pragnąłem gorąco, by pewnego dnia...

Nie stanęła u nas nigdy mała kołyseczka, ani nie mówiło się o maleńkiej wyprawce dla dziecięcia!

Szkoda, że właśnie tak! Ale kocham Cię tym więcej Mario, że musiałaś być taka samotna.

Weź tę małą dziecinę z zakładu nie oglądając się na nic. To, co Ci zostawiam, starczy na Was dwie, moje najukochańsze istoty! Nie śmiej się Mario — ja kocham tę małą, kocham w niej swoją tęsknotę za tym, co było mi odmówione. Kocham w niej wspomnienie Ciebie z przed lat, wizję płowowłosej, rezolutnej Maji.

Czy pamiętasz? Bo ja tak lubię wspominać i zawsze cofam się myślą wstecz...

...Czy rzeczywiście było między nami jakieś pokrewieństwo? Czy byłem tym „stryjem" małej Maji? Może nie, ale wtedy zależało mi na tym, bym mógł Ci zaimponować powagą tego tytułu! Czy był Ci wtedy bardzo przykry ten protekcyjny ton, jaki przybierałem w rozmowie z Tobą?

A tę historię z psem, pamiętasz moja mała Maju?

Zastałem Cię raz w swoim pokoju rozszlochaną, histerycznie prawie:

— Bo pieś psisied i cial ugliść! —

W rogu pokoju warował rasowy wilk (pamiętasz, nazywał się Mikado?) mój nieoceniony i nieodstępny towarzysz, który rzeczywiście do wszystkich poza swoim panem odnosił się wrogo.

Wiesz, chyba nigdy przedtem, a może i potem nic nie uczyniło na mnie tak wielkiego wrażenia, jak te Twoje łzy wtedy.

Przywołałem Mikada. Przyszedł posłusznie i ufnie, wesoło, jak to było w jego zwyczaju. Nie podejrzewał nigdy, że ktoś może być bliższy niż on memu sercu i, że zechcę pociągać go do odpowiedzialności.

Działałem wtedy pod wpływem strasznej, impulsywnej złości. Nie zdawałem sobie sprawy zupełnie z tego, skąd się wzięła, ani, czy jest uzasadniona. Biłem psa po grzbiecie skórzanym batem bez opamiętania i liczenia razów, bo wciąż stały mi w oczach wielkie łzy na Twoich rzęsach. Wstrętny pies, co śmiał „gliść" płowowłose dziecko, bawiące się w moim pokoju!

Aż wreszcie coś chwyciło mię za rękę i poczułem wyraźnie wbijanie się zębów w moją rękę.

I to nie był Mikado, Mario! To była ta właśnie dziewczynka z ogniami w oczach, z nieobeschłymi w nich łzami. Wiesz, że ugryzła mię do krwi? A przy tym krzyczała coś strasznie, przeraźliwym, ochrypłym głosikiem. Słowa gubiły się w szlochu. Rozkrzyżowanymi ramionkami zasłaniała psa, który już teraz naprawdę nic nie rozumiał.

Ja wtedy też byłem zaskoczony. Ale wzięłaś mię tym epizodem. Czy biorąc Cię wtedy na ręce wydzierającą się i rozżaloną, by utulić te łkania — i, gdy całowałem małe usteczka, miałem już to przeczucie, że Ty jesteś tą jedyną, wybraną dla mnie kobietą?

Mario, czy nasza mała dziewczynka będzie lubiała zwierzęta? Kochaj ją bardzo, Mario! Za siebie i za mnie. Pokaż jej moją fotografię i niech mówi o mnie „tatuś"!... Naucz ją ładnie się modlić...

Trochę się boję, że to będzie dla Ciebie kłopot, dużo pracy. Może nie masz już dość sił, by wychować dziecko? To wielka odpowiedzialność i dużo starań.

A nasza dziewczynka musi wyjść spod tego dachu w świat wartościowym, szlachetnym czowiekiem. Moja córeczka, z moim nazwiskiem!...

Mario, niech nic nie odwiedzie Cię od zamiaru! Ta mała czeka już tam w zakładzie i marzy o swoim własnym domu.

Ona umili Ci życie, Mario, osłodzi każdą pracę i wysiłek. Może sama nawet nie wiesz, jak bardzo potrzeba Ci dzieciątka. Ja sam nie wiedziałem... aż dopiero teraz...

Ona będzie dla Ciebie wszystkim. Ona pocieszy Cię, Mario...

Tak mię boli, że nigdy nikt nie nazwał mię najsłodszym, najpiękniejszym mianem; nikt nie powiedział: „ojcze"...

Ale Tobie to będzie dane, Mario... Kochaj ją za to...

Pamiętaj... Nie umiem już utrzymać pióra...

To ostatnie moje rozporządzenie, prośba... Cokolwiek się stanie, niech w naszym domu wzrasta mała szczęśliwa Maja...".

Wicher

Przypłynął hen od gór i szumi
i płacze w więźbach drzew
i po sitowiu tka, co pochylone
drży u podnóża słysząc złe
wyjące na szczytach drzew wysokich.
Rozgrzał się w sośninie
przepyszny w mocy swej.
Z chichotem musnął głaz przydrożny,
a później wirem nieostrożnym
zapadł na chwilę w jar głęboki.
Zadrżała drzewna młoda brać
krzewy ku ziemi się tulą.
Poszum w przestworzach, jazgot trwa,
a wicher wyje, hula —
chrobotem, łoskotem drga.
Kobierzec ziemi, zieleń jędrna
skacze w podmuchach, w sobie drży.
Do łona matki kłoni głowę,
a z nią gałązki też brzozowe —
w przestworzach poszum szumnie gra.

Gdyż przycichł jazgot, szelest szumi
lecz wolno, lekko w jedną stronę.
Ku ziemi coraz się przyniża
podmuchem tuląc, się łakomym.
I wtedy nagle z świstów szumów
na ziemię spływa wolno cisza.

R. St. Pelc

ZŁOŚLIWY PLAGIAT

Nela była szwaczką. Młoda i z wielkim temperamentem dziewczyna, o ognistych oczach, rasowych chrapkach i kuszących ustach, zawsze roześmiana. Wpadała do mnie często, w wolnych od swych zajęć godzinach, papląc bez wytchnienia. Aczkolwiek była bardzo, jak to mówią „grzechu warta", nie dochodziło nigdy między nami do zbytniej poufałości, poprzestawaliśmy jedynie na sentymencie platoniczno-przyjacielskim.

Bezinteresowna w całym słowa tego znaczeniu, przesiadywała u mnie nieraz do późnego wieczora, znosząc plotki z całego miasta. Gdzie kto z kim pokłócił się, kto i jak się ożenił, która z jej koleżanek ma nowego kochanka i jakie stąd wynikły skutki. Słowem, chodząca kronika miasta. Ciągle czynna krzątała się po moim królestwie przyrządzając to herbatę do kolacji, to znów nieproszona poddawała rewizji moją garderobę lub bieliznę dopominającą się naprawy.

Tak jakoś przyzwyczaiłem się do tej trzpiotki, że kiedy z braku czasu lub ochoty nie zjawiła się u mnie, przykro odczuwałem brak jej miłego towarzystwa. Były to jednak sporadyczne wypadki. Aż naraz, ni z tego ni z owego, przestała mnie Nela odwiedzać. Minął jeden, drugi dzień, tydzień i miesiąc, Nela nie pokazywała się zupełnie. Zaniepokojony tak długą jej absencją sądziłem, że zachorowała. Co do tej ewentualności uspokoiłem się w niedługim czasie, ujrzawszy ją z daleka wsiadającą do tramwaju. Wobec tego stanąłem przed zagadką na razie dla mnie niezrozumiałą. Pragnąc pozostawić całą sprawę wyjaśnienia czasowi, nie starałem się doszukiwać przyczyny jej nagłego zerwania ze mną. Czułem tylko do Neli zrozumiały żal, że nie uważała za stosowne wyjaśnić sprawy bodaj kilkoma słowami. Przypomniałem sobie jednak, że moja przyjaciółka miała wstręt do pisania listów, będąc w chronicznej niezgodzie z ortografią, mimo iż ukończyła z dobrym postępem siedem klas wydziałowych i pochłaniała wprost książki.

W pogawędkach naszych krytykowała zaciekle pisownię polską, utrzymując, że każdy wyraz powinno się pisać wedle fonetycznego jego brzmienia.

— Jeżeli napiszę — uzasadniała — „widziałam może" — to każdy domyśli się ze sensu o co chodzi, prawdą? Dlaczego zatem mam napisać „morze" przez rz. Tak samo słowo „kocham" napisane przez samo „h" równie dobrze będzie zrozumiałe. Pisownia byłaby prostsza i łatwiejsze jej opanowanie.

Najbardziej oponowała przeciw „ó" zdaniem jej zupełnie niepotrzebnie używanym w pisowni.

— Moja kochana — zaznaczyłem — każdy język ma podobne utrudnienia. Weź np. angielski: piszesz „pomidor", a wymawiasz „scyzoryk".

— O, o, scyzoryk!... Przecież „scyzoryk", „pomidor" są słowa polskie, a nie angielskie! Cóż ty mi bajtlujesz?

— Zapewne, podaję ci tylko przykładowo jak w angielskim języku różnią się bardzo od siebie słowa pisane a wymawiane. Albo w francuskim...

— A daj mi spokój, wolę całkiem nie pisać, aniżeli pocić się ze strachu, żeby nie popełnić błędu, — odpowiedziała zaperzona Nela.

Po upływie trzech miesięcy, gdy już zwątpiłem zupełnie, że się kiedykolwiek spotkamy w życiu, otwarły się drzwi i w progu ukazała się Nela. Przystanęła przy wejściu spoglądając nieśmiało na mnie.

— Nela! — krzyknąłem uradowany, wciągając ją do pokoju. — Cóż się z tobą dzieje, mała? Dlaczego nie przychodziłaś tyle czasu? Byłaś może chora?

— Tak, chorowałam... na serce!

— Co ty mówisz? Ty? na serce?

— Zakochałam się.

— Acha! W kimże?

— W durniu!

— Brawo! Dobrana będzie z was para.

— Czy to ma być dowcip?

— W każdym razie aktualny.

— Już nie! I właśnie w tej sprawie chciałam cię prosić o małą przysługę.

— Mianowicie?

— Chodzi mi o napisanie listu. Wiesz, że styl mam koszlawy, a ortografia pod psem. Zależy mi, aby list był napisany ortograficznie i dyplomatycznie, tak jak ty to umiesz. Przedtem jednak, abyś się zorientował w jaki sposób zredagować pismo do tego pana, muszę ci wszystko opowiedzieć. A więc słuchaj. Od niejakiego czasu przylepił się do mnie pewien urodziwy młodzieniec, który swoimi amorami tak mi jakoś zawrócił łepetynę, że zajęłam się nim nie na żarty. I byłoby wszystko w porządku, gdyby nie jego chorobliwa wprost zazdrość! O wszystko i wszystkich był zazdrosny, nawet, jak mówił, o słońce. Powstawały stąd ciągłe awantury i sprzeczki, doprowadzające mnie czasem do rozpaczy. Następowały przeprosiny i zaklęcia po to, by na drugi dzień powtórzyła się ta sama heca. Po takich scenach byłam zawsze tak zdenerwowana, że myślałam, iż oszaleję. Nie mogąc wyobrazić sobie dalszego pożycia z takim wariatem postanowiłam, choć żal mi chłopca, zerwać z nim bez apelacji. Skomponuj więc list krótko, oględnie, nie poruszając zupełnie jego zboczenia na tle zazdrości. Jutro wieczorem będę u ciebie i z kartki, którą mi wręczysz, odpiszę. List oddam na pocztę. Dobrze?

— Spróbuję!

Po odejściu Neli długo rozmyślałem jak zreferować treść odpowiadającą wymaganiom mojej przyjaciółki. Namozoliłem się trochę nad konceptem zamówionego listu, sporządziwszy go krótko i dyplomatycznie. Osnowa brzmiała w ten sposób: „Przyjacielu! Pomyliłam się! Ciepłe uczucie jakie początkowo żywiłam dla ciebie spopielało, niestety! Dziś

została pustka! Trudno sercu rozkazać, by kochało, prawda? Nie umiem kłamać ni oszukiwać, zresztą nie chciałbyś chyba, abym cię dłużej łudziła, że cię kocham, gdy uczucia takiego brak! Nie jesteśmy dla siebie stworzeni, wobec tego drogi nasze muszą się rozejść. Nie miej o to żalu i zachowaj w życzliwej pamięci — Nelę".

Na drugi dzień zjawiła się u mnie Nela i zadowolona z konceptu z wdzięczności za to ogniście po raz pierwszy mnie ucałowała. Całus ten stał się niejako zadatkiem serdeczniejszego zbliżenia między nami, które z każdym dniem potęgowało się goręcej.

Przeżyliśmy razem dużo chwil jasnych i rozkosznych. Nela była odtąd u mnie codziennym gościem czując się jak u siebie.

Naraz po upływie może trzech miesięcy, dziewczyna przestała u mnie bywać bez żadnego racjonalnego powodu. Posmutniałem, nie mogąc zrozumieć, co znów wpłynęło na tak bolesną dla mnie zmianę. Wkrótce otrzymałem list tej treści:

„Przyjacielu! Pomyliłam się! Ciepłe uczucia jakie początkowo żywiłam dla ciebie spopielały niestety. Dziś została pustka etc. etc."

Był to złośliwy plagiat.

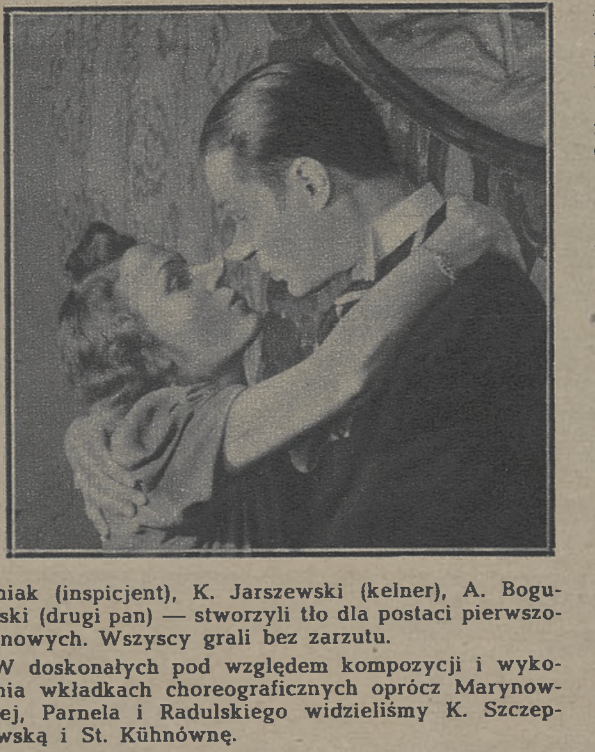
Parsknąłem pustym śmiechem.

Drogi nasze istotnie się rozeszły, bo więcej nie widziałem już nigdy mej Neli.

Brotycz

ZE SCEN WARSZAWY

„MINIATURY": CZAS KŁAMSTWA



Ina Wolska i Zb. Rakowiecki we fragmencie operetki „Imieniny dziadzi" w karabecie „Złoty Ul" w Warszawie.
Fot. Lokajski

Najmłodszy z teatrów warszawskich „teatr małych form **Miniatury**" wystawił przeróbkę komedyjki „Domek z kart", dając jej tytuł „Czar kłamstwa". Jest to kolorowa bajeczka pełna poezji i wdzięku odrywająca od szarzyzny dnia codziennego, przenosząca nas w krainę złud i młodzieńczych snów z serii: „Kopciuszek i królewicz w złotej karocy". Nie ma tu wprawdzie Kopciuszka, jest za to uboga dziewczyna z teatru, która marzy o księciu i z tych jej pragnień rodzą się nieszkodliwe kłamstwa, w które nikt wprawdzie nie wierzy, mimo to poddaje się czarowi Joli i razem z nią raduje się z spełnienia jej marzeń.

Sztuczkę zręcznie przerobioną przez H. Rapacką, okraszoną tekstami poetyckimi St. Strusia, podcieniowaną doskonałymi tańcami K. Marynowskiej, F. Parnela, E. Radulskiego i miłą muzyką B. Kubika znowu nazwano (jak i pierwszy program) montażem słowa, muzyki i tańca. I słusznie. Jest to bowiem szereg barwnych obrazów powiązanych ze sobą tematycznie, tworzących miłą i zgrabną całość. Należą się tutaj słowa pełnego uznania za reżyserię St. Perzanowskiej, która nadała temu montażowi należyte tempo i wyraz oraz zespołowi aktorskiemu za doskonałą grę.

Ina Benita —"zagrała trudną rolę Joli szczerze, przekonywująco bez odrobiny szarży. Z przyjemnością też słuchaliśmy jej miłego głosiku w b. dobrze interpretowanych piosenkach. Andrzej Szalawski — jako książę był mocno i odpowiednio bajkowy, Stefcia Górska (Iza) jak zwykle pełna temperamentu i doświadczenia życiowego, Jerzy Pichelski (George) — nieco sztywny. Pozostali wykonawcy: J. Porębska (garderobiana), M. Dąbrowska (matka), I. Kozłowska, M. Wolińska, E. Magierówna (girlsy), St. Jaworski (Moryś), B. Dominiak (inspicjent), K. Jarszewski (kelner), A. Bogusiński (drugi pan) — stworzyli tło dla postaci pierwszoplanowych. Wszyscy grali bez zarzutu.

W doskonałych pod względem kompozycji i wykonania wkładkach choreograficznych oprócz Marynowskiej, Parnela i Radulskiego widzieliśmy K. Szczepkowską i St. Kühnównę.

„NA ANTRESOLI": FLIRT

Kabaret artystyczny „Na Antresoli" najrzadziej zmienia programy ze wszystkich teatrzyków warszawskich. Ma on ustalony charakter przedstawień: kilka skeczów, piosenek i recytacji (wszystko na wysokim poziomie) — „samych swoich" artystów filmowych, którzy „robią jak umieją", aby całość wypadła miło i zgrabnie.

Ostatni program nosi tytuł „Flirt" — flirtowicze to urocza Irena Malkiewicz-Domańska, wcielenie idealnego piękna kobiecego (piosenka „Usta, oczy, ręce") H. Grossówna (piosenka „Panna Bronka z ogonka"). Lidia Wysocka w starym repertuarze i... nowej sukience. Jerzy Liedtke — dobra aparycja, miły głos, Grolicki na poziomie wykonał recytacje „Miss Ottio". Trzy skecze: „Geniusze", „Ostatnia rozmowa", „Poeci" (wszystkie Gozdawy) — niezłe w pomysłach i przekonywująco zagrane.

Z. Bakuła

MEDYCYNA W ANEGDOTACH

LEKARZ „DZIEWCZYNĄ DO WSZYSTKIEGO"

Pewien znakomity neurolog zestawił zdumiewającą wprost ilość przykładów, ilustrujących wymownie różnorodność dziedzin, podpadających pod kompetencję medycyny. Jakaś młoda dziewczyna zdradza skłonności do włóczęgostwa i lekarz ma odpowiedzieć, czy chodzi tu o następstwa jakiegoś procesu chorobowego w mózgu, czy o wpływ środowiska; między rozwiedzionymi małżonkami toczy się spór o dzieci i na podstawie badania lekarskiego rodziców i dzieci należy orzec, komu sąd opiekuńczy powierzyć ma wychowanie; jakiś starszy pan przeprowadził nieodpowiedzialne transakcje i oto zachodzi pytanie czy można je z tytułu nieudolności unieważnić; ktoś inny znowu zmienił się zupełnie w całym swym usposobieniu i sposobie odnoszenia się do otoczenia, ponieważ we funkcjach mózgu nastąpiły u niego zaburzenia arteriosklerotyczne; tu znowu trzeba rozstrzygnąć, czy nie należałoby przerwać ciąży, czy jakiś młody człowiek może się żenić i oczekiwać zdrowego potomstwa, chociaż w rodzinie jego dziedziczą się pewne choroby; tam zadręcza ktoś swą żonę atakami nieprzytomnej zazdrości, której źródłem okazuje się chroniczny alkoholizm; osobliwe zachowanie się nauczycielki wobec dzieci zdradza istnienie otamowań, tłumaczących się oto całkowicie jej zmaganiem się z problemem seksualnym i sprawą małżeństwa.

MUZYKALNOŚĆ PRZYCZYNĄ WYNALAZKU

Lekarz Auenbrugger, wynalazca opukiwania przy chorobach płucnych miał ojca właściciela oberży i odkrył różnicę między przytłumionymi i jasnymi tonami, powstającymi przy opukiwaniu wypełnionych wodą i pustych części ciała przez porównanie beczek wina pełnych i próżnych. Nie bez znaczenia jest i ta okoliczność, że Auenbrugger był muzykalny i napisał nawet libretto do jakiejś opery.

LEKARZ KRETEM, NIE KRETYNEM

Lekarze bez anatomii podobni są do kretów: pracują w ciemnościach, a dziełem ich rąk są... kopce.

MORDOWNIA „HARE'A"

Jeszcze w drugiej połowie XIX w. lekarze pragnący przeprowadzić badanie anatomiczne na trupach, musieli je kupować u złodziei, którzy nocą włamywali się do grobowców i wykradali zwłoki dla anatomów. Dopiero przerost tego business'u przyniósł nauce ostateczne wyswobodzenie z tak niegodnych warunków egzystencji. Bóg wie, kiedy by to nastąpiło, gdyby wielki skandal nie zrujnował ostatecznie przedsiębiorstwa. Punktem wyjścia owego skandalu była oberża w pobliżu Londynu, której właściciel, Hare, zaczął od skromnych początków. Gdy pewnego razu zmarł jakiś podróżny, nie uiściwszy się z należytości, pełen słodyczy Mr. Hare zawlókł go nocą w dzielnicę anatomiczną, aby — jak drugi Shylock — obstając przy swoim funcie mięsa, wymienić go na złote funty. Na Surgeons Square zapytał się jakiegoś studenta o profesora Monroda, a ponieważ zapytany był uczniem innego anatoma, wielkiego Cnoxa, skierował on dostawcę wraz z towarem do swego mistrza, który wynagrodził pana Hare i wyraził życzenie dalszej i trwałej współpracy. Oberżysta nie mógł, rzecz jasna, jako rozumny przedsiębiorca zdać się po prostu na swe szczęście i czekać, aż go miły Bóg znowu obdarzy jakimś nieboszczykiem; przyłożył się więc nieco sam i z biegiem czasu zgładził ze swym przyjacielem Burk'em 30 ludzi, których zwłoki dostarczył profesorowi Cnoxowi. Wszystko miało przebieg czysto kupiecki; zgodzono się na 320 zł od sztuki w lecie, 400 zł w zimie. Przedsiębiorstwo rozszerzyło się przez założenie filialnej mordowni w Dublinie i ściśle baczono na to, aby towar był w dobrym stanie i nie wykazywał żadnych zewnętrznych obrażeń. Ale wiadomo: ludzie bardzo przedsiębiorczy stają się z czasem nieostrożni; przydarzyło się to także naszemu dostawcy anatomicznemu. I oto pewnego dnia wejrzała jakaś sąsiadka w jego praktyki i zadenuncjowała go. Doszło do procesu; paser Cnox, jak to zwykle paserzy, został uwolniony, Burke wygłał się, odegrawszy rolę głównego świadka. Tylko Hare... biedny Hare...

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Dwa parostatki i ich załoga

Z dwóch parostatków jeden jest łamaczem lodów, a drugi frachtowcem. Załoga złożona z 52 osób jednego statku otrzymuje urlop w zimie, natomiast załoga złożona z 18 osób drugiego statku idzie na urlop w miesiącach letnich. Hansen, kapitan jednego ze statków słynie z niezwykle zręcznego prowadzenia swego parowca. Martin, kapitan drugiego parostatku, zwiedził już dużo świata. Kucharz, który musi się troszczyć o zaopatrzenie w prowianty załogi jednego z parostatków umie zawsze tyle zapasów żywności zakupić, że wystarczą na całą podróż. Sternik drugiego statku posiada złoty zegarek, z którego jest bardzo dumny i wszystkim lubi pokazywać, gdyż otrzymał go jako nagrodę za ratowanie rozbitków. Na którym z tych dwóch parostatków służą wymienione osoby?

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR 44, 46 i 49

Przejazd przez rzekę

Wieśniaczka musi znajdować się na promie zaznaczonym literą A, gdyż ten płynie ku brzegowi, nad którym leży miasto; podczas gdy prom B podąża ku przeciwległemu brzegowi. Poznajemy to po kierunku prądu rzeki, który uderzając o bok promu ustawionego nieco na ukos, skierowuje go do brzegu.

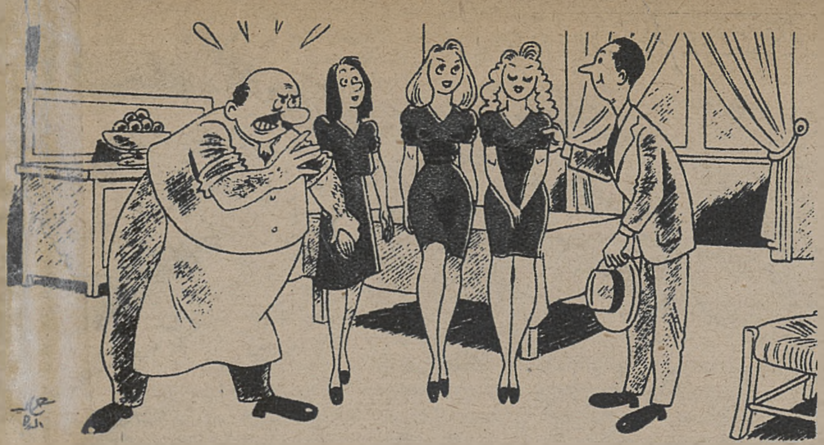
Zygzak

Znaczenie wyrazów: 1. niebo, 2. zięba, 3. hokej, 4. Korea, 5. aorta, 6. motto, 7. sanki, 8. cacko.

Krzyżówka

Wyrazy poziome: kino, kurz, sala, rebelia, rufa, gaik, lord, Krak, arfa, foka, Garonna, nurt, arak, Arab, menu, romb, Azja, Kain, Ural, Anna, noga, nota, tara, Jawa.

Wyrazy pionowe: kruk, kozak, szafa, ranga, mina, kasta, uncja, echo, arkan, Agata, klika, drób, Urban, baran, liga.



HANDLARZ JARZYN I JEGO CÓRKI

U mnie nie wolno wybierać mój panie, musi pan brać tę, którą panu daję.

(DieKoralle)

— Pani mąż był burmistrzem. Czy znalazł on swego zastępcę?

— Nie, gdyż ja wciąż jeszcze jestem wdową.

Narzeczony siedzi z siostrą na sofie i mówi po jakimś czasie do małego Jasia: — Masz tu markę i znikaj teraz co prędzej.

Jaś skinął głową porozumiewawczo i powiedział:

— Jeżeli mi dasz dwie, to zrobię nawet zaciemnienie.

ZIMA

Śpiewociew

Po polach i wykrociach, po łyskliwych głazach
Sunie wybiustna zima w białych cichołazach...

Ziemia lodowacieje, gdy tylko ją dotknie,
Zimń tuli się do szyby, śnież cupła pod oknem.

Śniegochłód z zimnoszumem na jesieni grobie —
Wygrywają mrożące, prześwistne zimnodie.

Na domki opadają naśnieże poranne,
Od dachów w skrzach zwisają sople zimnoszklanne.

Białe wióra opadły z pod niebieskich hebli
I kryształkowa naśnież miłownie się srebli.

Hej, chce dusza pohulać po tych śnieżnych chaszczach —
Wtuliłem się tułowiem w poły futropłaszcza

(Futrze, rozkosznym ciepłem po brzegi mnie napełń...!...)
Na uszne antymrozy nasadziłem czapę —

Stęskniony białych przygód i radości pełny
Wsadziłem forsobierze w rękochrony z wełny,

A długie tykochody w ciepłe śniegostępy
I puściłem się przez drzwi w te białe ostępy.

Brr... Chuchnął mi za szyję zimnoszum-wyrwaśnik! —
I furkocze włóczkowy szyjoowijaśnik — — —

A w delikatnym nosie szczypawkowa heca...
Hej, zawróć duszo z drogi, lepiej koło pieca!!!...

E. Kol.

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

Żona: — Czy bardzo mnie kochasz?
Mąż: — nad życie.
Żona: — A nie tęsknisz za kawalerskim stanem?
Mąż: — O nie, tak mi obrzydł, że gdybyś umarła, to za tydzień się żenię.

*

Profesor w czasie egzaminu: — To pytanie przecież chyba całkiem jest łatwe.
Student: — Przyznaję, ale nie odpowiedź.



POMYŁKA

„Urocza pani, czy mogę ci towarzyszyć?“
„Naturalnie, ale dlaczego mówisz do mnie pani, tatusiu?“

(Die grüne Post)

— Nie można Agatko wszystkiemu wierzyć, co ludzie gadają.

— Tak, mamo, wiem o tym, ale można to samo dalej opowiadać.

*

— O co właściwie procesują się Karol z Gustawem?

— O psa. Procesują się już od pięciu lat. Dotychczas kosztuje ich to już przeszło pięć tysięcy złotych.

— Jak pan myśli, przy kim zostanie pies?

— Ach, ten pies już dawno zdechł.

*

Teść: — Przed półtora rokiem, zaraz w dniu ślubu, wypłaciłem ci posag mej córki co do grosza, a ty dziś znowu przychodzisz do mnie po pieniądze?

Zięć: — Tak, z tą tylko różnicą, że dzisiaj przychodzę z prośbą o odszkodowanie.

*

Klient: — Pan mecenas wypisał mi dodatkowy rachunek na 50 zł z uwagą za pracę nocną...

Adwokat: — Tak, wie pan, tej nocy nie mogłem zasnąć i myślałem nad pańską sprawą.

— Loleczku, przyznaj się, czy rzeczywiście poślubiłeś mnie z miłości, czy jedynie by moje pieniądze dostać?

— Tylko dla ciebie samej, moja kochana, bo pieniądze były przeznaczone dla moich wierzycieli.

*

— Będziesz cicho, bębnie! — woła matka w złości bijąc dziecko.

— Jakże możesz wymagać, żeby bęben był cicho, jak w niego bijesz? — odzywa się ojciec.



W OGRODZIE ZOOLOGICZNYM

„Czy nie mógłby pan wpisać mnie na listę swych klientów — wolałabym u pana pobierać jaja na kartę żywnościową“.

(Die grüne Post)

SZACHY

KĄCIK SZACHOWY NR 4 (25)

pod redakcją mistrza Europy i świata dra **A. Aljechina**

Problem nr 2

A. Wities

Czarne: Kh8, Wd4, Sh5, piony: c5, d6, g5 (6).
Białe: Kc7, Ha1, Se6, e7, Gg8 (5).
Mat w trzech posunięciach.

Rozwiązanie pozycji z partii nr 1

1. Wc5—c8! Wd8Xc8 2. Ha3—e7!! i czarne tracą hetmana za wieżę, gdyż w razie HXe7 następuje mat przez 3. dXc8 H, w razie zaś 1... HXd7 2. H—f8+

Partia nr 96 (98)

Białe: Dr A. Aljechin — Czarne: Zollner
grana w I rundzie 3 turn. Gener. Gubernatorstwa.
Hiszpańska.

1. e2—e4 e7—e5	18. Gc1—g5 Gc5—e7
2. Sg1—f3 Sb8—c6	19. He4—h4! [8]) h7—h5
3. Gf1—b5 a7—a6	20. Gb1—e4! Ge7Xg5
4. Gb5—a4 Sg8—f6	21. Hh4Xg5 Ge6—f5
5. 0—0 Gf8—e7	22. Wf1—e1 Gf5Xe4 [9])
6. Hd1—e2 b7—b5	23. We1Xe4 Sc6—e7
7. Ga4—b3 0—0 [1])	24. Wa1—e1 Hd7—e8 [10])
8. d2—d4 [2]) d7—d5	25. g2—g4? [11]) Wd8—d3!
9. d4Xe5 Sf6Xe4	26. Sf3—h4? [12]) h5Xg4
10. c2—c3 [3]) Gc8—e6	27. We4Xg4 Wd3—d5
11. Sb1—d2 Se4—c5	28. Hg5—h6 Hc8—d8!
12. Gb3—c2 [4]) d5—d4	29. Sd4—f3 Se7—f5
13. Gc2—b1! [5]) d4Xc3	30. Hh6—c1 Wd5—d3
14. b2Xc3 Hd8—d7	31. Sf3—g5 Sf5—h6? [13])
15. Sd2—e4! [6]) Wa8—d8	32. Sg5—e6! Hd8—e7
16. Se4Xc5 Ge7Xc5	33. Hc1Xh6 He7Xe6
17. He2—e4 g7—g6 [7])	34. Wg4—h4

Czarne poddały się.

Uwagi:

[1]) Posunięcie modne, zamiast zwykle granego 7...d6

[2]) Ofiara piona, której czarne nie przyjmują. Ideą jest po 8... eXd4 9. e5 S—e8 10. c3 dXc3 11. SXc3 zapewnienie sobie przez białe korzyści terenowych.

[3]) Teraz powstaje znane odgałęzienie wariantu otwartej gry po 5... SXe4.

[4]) Zwykle grywa się tu 12. S—d4 SXb3! 13. SXb3 i t. d. z mniej więcej równą grą. Białe chcą bezwarunkowo utrzymać się przy posiadaniu gońca atakującego.

[5]) O wiele lepsze, niż 13. cXd4.

[6]) Jeśli teraz 15... G—c4, to 16. SXc5 GXc5 17. H—e4 i t. d.

[7]) Nieco lepszem było: 17... f5 18. eXf6 gXf6 19. G—h6 W—f7 20. G—c2, jednak także i wówczas miałyby białe przewagę pozycyjną.

[8]) Grozi 20. G—f6 i t. d.

[9]) W razie 22. Wf—e8 rozstrzygałoby 23. GXc6 HXc6 24. S—d4 H—d7 25. e6!

[10]) Ażeby w razie 25. e6 móc odpowiedzieć f6.

[11]) To i następne posunięcie białych należy zganić. Decydowało poprostu: 25. W—h4 K—h7 26. H—f6 itd.

[12]) I teraz prowadziło do wygranej proste 26. S—d4! c5 27. S—f5 SXf5 28. gXf5. Skoczek na h4 tamuje rozwój ataku.

[13]) Błąd, spowodowany niedoczasem. Niezbędnem było 31... W—e8 z następującym kontynuowaniem gry: 32. e6! fXe6 33. S—e4 K—g7 lub też f6 34. K—h1! przy czym białe zachowują lepsze widoki ataku.

UWAGA! FOTOAMATORZY!

ROZWIĄZANIE II-GO KONKURSU



SPAWANIE METALI

Zdjęcie tematycznie zbliżone, niedające jednak szerszego pojęcia potęgi pracy. Wykonał p. Stanisław Jędrzejowski z Krakowa.

Sąd konkursowy, po rozpatrzeniu wszystkich nadesłanych prac fotoamatorskich, stwierdził, iż żadne zdjęcie nie obejmuje swą treścią w całości tematu.

Zasadniczym błędem było to, że fotoamatorzy podchodzili do tematu jednostronnie, bez umiejętnego wykorzystania tła i doboru motywów dla samej treści. A szkoda, gdyż przy wielkich możliwościach aparatu fotograficznego można było uzyskać piękne efekty.

Należało, na tle przedstawiającym wyniki pracy, ułożyć sytuację pierwszoplanową wyrażającą moment samej pracy, przy czym można było nawet wykonać montaże z kilku zdjęć.

Przypatrzmy się bliżej zdjęciu zamieszczonemu obok pt.: „Spawanie metali“. Gdyby autor zamiast narzędzi, obrał jako tło koła transmisyjne lub halę maszyn — wówczas temat niewątpliwie byłby kompletny.

Zdjęcia o motywach zbliżonych treścią do konkursowego tematu uszeregowano w następujące miejsca:

I. FRANCISZEK GRABOWSKI z Krakowa
II. EDWARD SYLWESTER ze Stalowej Woli
III. STANISŁAW JĘDRZEJOWSKI z Krakowa
IV. WIKTOR DOBROWOLSKI z Tuchowa
V. W. KAMIŃSKI z Kamionnej
VI. ZOFIA OGARZYŃSKA z Radomia
VII. ALICJA GIMPEL z Warszawy
VIII. JÓZEF WYDRYCH z Krakowa
IX. LEON KONIECZNY z Radomska
X. KAZIMIERZ LUDERA z Mościsk.

Niezamieszczone zdjęcia zwrócimy, a ponadto uczestnicy konkursu otrzymają pismo z Redakcji z wyjaśnieniami błędów i zalet nadesłanych zdjęć.



W KUŹNI

Jedna z kompozycyj p. Franciszka Grabowskiego z Krakowa, o motywie najbardziej zbliżonym swą treścią do konkursowego tematu.

To płacze serce i miłość łka...

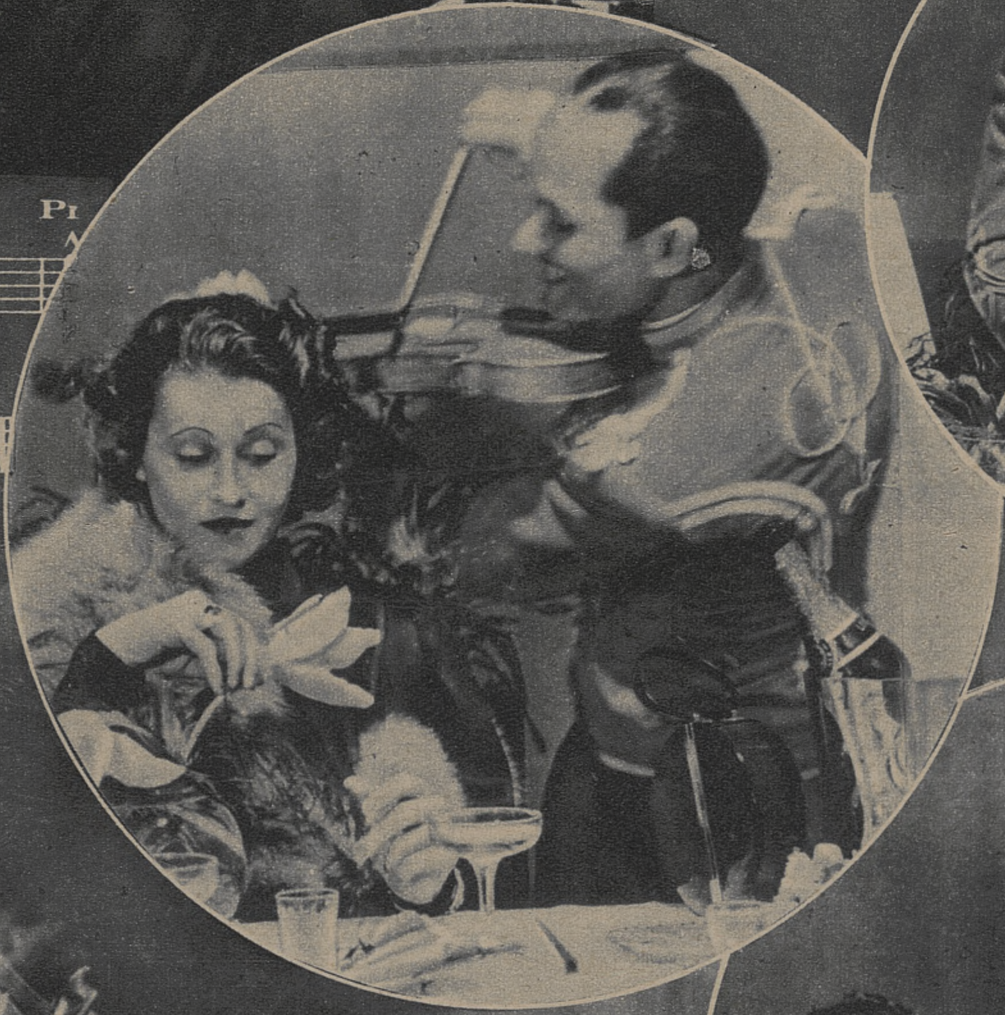


...gdy siedząc przy lampce wina usłyszy się nagle jakąś rzewną melodię. Któż takiej chwili nie przeżył, nawet i bez lampki wina! Budzą się wtenczas marzenia, wspomnienia, tęsknoty i pragnienia nowych przeżyć. Inaczej objawia się wpływ muzyki na nastrój, gdy się jest we dwoje, a inaczej we dwóch, inaczej gdy się jest w tłumie, a inaczej w samotności. Inaczej nastraja melodia poważna, a inaczej rzewna melodia węgierska wygrywana na skrzypcach cygańskich. Muzyka działa na każdego człowieka nawet o kamiennym sercu, a cóż dopiero na wrażliwe serce młodej kobiety. Odgadnięcie co mówią jej usta i jej serce w poszczególnych etapach muzycznych ma być zadaniem P. T. uczestników konkursu. Spójrzmy na jej oczy, usta, na jej miny i gesty, na szampan i papierosa, a wglądniemy w tajniki jej serca. Za najtrafniejsze i najlepsze rozwiązanie redakcja przewidziała nagrody: I nagroda 150 Zł., II nagroda 100 Zł., III nagroda 50 Zł. Ponadto wyznaczono jeszcze dodatkowo 10 nagród pocieszenia po 10 Zł. Rozwiązanie przesyłać do Redakcji Ilustrowanego Kurjera Polskiego w Krakowie, ul. Piłsudskiego 19, II p. w zamkniętej kopercie z napisem „V. Konkurs I.K.P." Termin nadsyłania rozwiązań upływa z dniem 9 stycznia 1943 r.

sempre p

Fot. Witzleben i Peters









sempre stacc.

WĘGIERSKA